

10 luty 1940 rok

O świcie zostaliśmy wygnani z własnego domu, wraz z mężem, mamą i cztero-letnią córką. Do domu weszło trzech mężczyzn. Jeden Ukrainiec z naszej wioski Nehrybka i dwóch Sowietów. Powiedzieli, że mąż ma broń. Jeśli jej nie odda to będą ją szukać, a jak znajdą to męża na oczach rodziny zastrzelą. Postawili męża na środku kuchni z wycelowanym do niego karabinem. Jeden z nich zaczął przeszukiwać dom, ale nic nie znaleźli. Wówczas przeczytali rozkaz Stalina, który brzmiał, że za pół godziny mamy opuścić własny dom, zostawiając cały dobytek i pracę naszego życia. To było coś okropnego, czego się nie da opisać. Ból serca straszny. Stoję jak słup bezwładna, a oni krzyczą, że jeśli nie wyjdziemy za "pół czasu to wybroś nas jak sobaki na ulicu". Dziecko okropnie płacze i tuli się do mojej mamy i pyta "babciu czy nas wyganiają z domu"? Mama też płacze i nic mu nie odpowiada, a Sowiet do mamy krzyczy: "starucha, nie rywij tolko ubierajsia, bo w tej rubasze wybroś na ulicu".

I tak z bólem serca wyszliśmy z domu, zostawiając cały dobytek. Na podwórzu stały sanie. Siedliśmy i zawieźli nas na stację Bakończyce w Przemyślu. Tam zobaczyłam, że to nie tylko my zostaliśmy wywiezieni, ale cała nasza kolonia Nehrybka i wszystkie kolonie z powiatu przemyskiego. Załadowali nas do małego wagonu bydłowego. Było nas 36 osób 19 starszych i 17 dzieci. Dzieci płaczą z zimna i głodu - był ogromny mróz. Ich to na zewnątrz nic nie wzrusza. Stoimy cały dzień i noc w wagonach zamkniętych o głodzie. Była to sobota. W niedzielę rano mąż uchylił siekierą okno blaszane, a ja zobaczyłam chłopca, który niósł bułki do sklepu. Nasz wagon był ostatnim w tym pociągu i stał już na przejeździe. Wołam do chłopca, aby dał bułki dzieciom, a on woła: otwórzcie. Jak otworzyć, kiedy byliśmy zamknięci od zewnątrz. W tym momencie nadszedł strażnik, chłopca zastrzelił, a bułki z koszem kopnął do śniegu. Było to dla mnie straszne przeżycie, bo przeze mnie zostało zabite czyjeś dziecko. I od tej już chwili wiedzieliśmy jak będą nas traktować. O północy z niedzieli na poniedziałek opuszczamy kochany Przemyśl. Okropny płacz i ból serca nie do wytrzymania. Śpiewamy: "Serdeczna Matko, nie opuszczaj nas". Gdzieś koło Tarnopola znów stoimy. Mąż znowu uchylił okna. Zobaczyłam, jak chłopci popasali konie i sami jedli chleb. I znowu wołam - "dajcie chleba dzieciom". Usłyszeli i to co nie dojedli to przynieśli. Szparą przez okno podali. Na szczęście w tym momencie nie było w pobliżu strażnika. Na piąty dzień podróży dali nam wiadro kaszy jęczmiennej z plewami, ale to był rarytas dla nas wszystkich. Na okropny płacz dzieci dali wiadro śniegu z czego było litr wody czarnej od sadzy. I tym trzeba było obdzielić 17 dzieci. Tak nas wieźli cztery tygodnie o głodzie, w wielkim mrozie, przymarzających do desek wagonu. Nie było miejsca dla wszystkich, aby się położyć. Starsi leżeli na zmianę. Kiedy się obudziłam i wstałam, duża część moich włosów pozostała przyklejona i przymarznięta do ściany wagonu. Ludzi, którzy poumierali podczas podróży, wyrzucano na śnieg po drodze. Ostatnia stacja Ural-neft. Tam stoimy cały dzień. A gdy zrobiło się ciemno, otworzyli wagony i kazali wychodzić. Moja znajoma wysiadła z drugiego wagonu tuląc do siebie dawno już zmarłe dziecko. Nie chciała dać go wyrzucić na śnieg i pochowała go własnymi rękami już na Uralu.

Na zewnątrz czekały już sanie. Wieźli nas cały dzień i noc. Mróz był 420 C. Wieczorem znaleźliśmy się w barakach. Brudnych, zapluskwionych z wąskimi żelaznymi pryczami bez

materaców. Miejscowość nazywała się Uczastek Chmielicha, rejon Wierchnyje Gorodki obłast Mołotowska. Nasza córka ma 400 gorączki. Płaczę i proszę lekarza, a komendant krzyczy - "nie płacz podochniet odno budiet wtoroje". I tak modlimy się z mamą do Matki Nieustającej Pomocy prosząc o zdrowie. I Bóg nam ją utrzymał przy życiu, ale skutki Sybir zostawił. Gruźlica nieodpowiednio leczona i na starość operacja i wycięcie części lewego płuca. W tej chwili jest na rencie, a stan jej zdrowia jest opłakany.

Na jednej małej sali w baraku umieszczono nas 12 rodzin. Warunki okropne. O czwartej rano wygnano nas na pole przed barak przy 40-stopniowym mrozie i ogłoszono: "Wy tu nie przyjechali na bokach leżeć, tylko robić. Tu wasze życie i tu wasza śmierć. Polski więcej nie będzie, jak swego ucha nie zobaczysz, tak Polski więcej nie zobaczysz". Ludzie zaczęli okropnie płakać, jedni płakali a drudzy śpiewali. "Matko Bolesna nie opuszczaj nas". Okazało się, że jest nas tam aż 360 rodzin. Komendant zgłupiał i po chwili milczenia zaczął krzyczeć - "Tiszina". Ludzie pomału się uspokoili, widząc że to nic nie pomoże. On wydał rozkaz - "0 godzinie 8-mej rano wszyscy na robocie, młodzi walić las a starsi robić sągi".

I tak zaczął się nasz żywot na Syberii, który trwał aż 6 lat. A ja zanotowałam niektóre wydarzenia z tych okrutnych przeżyć. I tak - 22 sierpień 1941 rok - umiera mama mojego męża na malarię i tyfus w wieku lat 62. Wrzesień 1941 rok - miła wiadomość - zostajemy uwolnieni od Milicji, komendanta i Naczelnika. Możemy opuścić barak i las i szukać innej pracy. Większość ludzi wyjechała, ale tylko po śmierć. Dojechali do Taszkientu i tam epidemia tyfusu wyniszczyła całe rodziny. Zmarli dwaj bracia mojej mamy z żonami. Moja rodzina nie wyjechała. Zmieniliśmy tylko las na kołchoz. Urodziłam w czerwcu 1940 roku syna i dlatego zostaliśmy. Kołchoz imieniem Lenina w Kulikowie.

Rok 1943 - maj - zostaje powołany do armii Kościuszkowskiej mój mąż, brat męża, szwagier i dwie siostry (Bronisława lat 22 i Stanisława lat 20). 24.X.1943 r. - otrzymujemy okropną wiadomość - została zabita młodsza siostra, Stanisława, w pierwszych walkach pod Lenino. 18.VIII.1944 r. - umiera ojciec męża - lat 72. I pytam - "Czy człowiek mógł udźwignąć ten ciężar bólu?". A jednak tak! Za ojca buty zdobyłam stare deski na paczkę - skrzynkę, aby móc pochować drogą mi osobę. Grób wykopałam ja i druga synowa. Z bólem serca pochowałyśmy ojca, który wychował 10-cioro dzieci (6-ciu synów i 4-ry córki). Świeć Panie nad jego duszą. I tak zostałyśmy same kobiety i dzieci - w tym dalekim nieludzkim świecie. I nasuwa się myśl - aby z tych okrutnych chwil coś napisać dzieciom na pamiątkę.

Szumia jodły na tym górzystym Uralu. Wiatr nuci żalosalną pieśń - o kraju tym, gdzie zagnał nas kat bolszewicki. Żyliśmy w okropnych warunkach - w barakach brudnych i zapluskwionych.

Gdy wywożono mnie, byłam w 6-tym miesiącu ciąży i tam los wita dzieci me. Dziś kto słucha moich opowiadań myśli, że to bajka albo sen. Jak można było żyć w takich warunkach z małymi dziećmi? A jednak można było.

A teraz posłuchajcie, moje dzieci, jak wam śpiewał wiatr. Na tym dalekim górzystym Uralu mieszkał Polski Lud. Pracował ciężko, aby przeżyć mógł. Bosą nogą przemierzał uralski step, by zdobyć cokolwiek, by przetrwać zły czas. O Boże ! A cóż to za okropny kraj !

W cerkwiach - magazyny, bo taki był leninowski i stalinowski "prikaz". Ale wszystko minęło - bo dobry Bóg zlitował się i wróciliśmy do ukochanej Polski swej. Niestety wróciliśmy na zgłiszcza swojej pracy i domu. I znowu okropna rozpacz. Zostajemy bez dachu nad głową z trójką dzieci. Choć ból ścisnął serce me i łza cisła się do oczu, usta w skupieniu szeptem dziękowały Bogu - bo to Bóg miłosierny ocalił Polskę i nas od wrogów.

A teraz parę słów o śmierci mamy mojego męża. Witlańska bolnica - cztery puste ściany, na których nie ma wizerunku Boga. Po kątach czai się ból, smutek i trwoga. W jednym kącie gromadka ludzi się skupiła. Tam na żelaznej pryczy oddaje Bogu ducha matka. Matka ponad życie miła. Najmłodsza z córek Stasia nad nią pochylona. Cicho we łzach szepcze - "Mamuś kochana, popatrz kto przyszedł do ciebie, tak czekałaś na nią". Oczy z trudem się podniosły i gruba łza stoczyła się po policzku. Język, spalony od gorączki, poruszył się - ale głosu już nie było. Stasia płacze, a mnie ból serce ścisnął. Szeptem błagam: "Mamuś kochana - nie odchodź od nas, nie zostawiaj nas w tym dalekim nieludzkim świecie". Niestety mama kona. Łzami obmyłyśmy ciało i ręce, które nas karmiły. "Mamuś najdroższa - wszystko to co wycierpiałaś - zabrałaś do mogiły". Nazajutrz grób w lesie synowie i córki wykopały. I to, co było dla nas najdroższe, tośmy pogrzebały. "Wieczny odpoczynek" szeptem we łzach odmówili. Śpij mateczko w tym pustynnym leśnym grobie. Może kiedyś Polska przyśni się Tobie. A pamięć o tobie nigdy nie zaginie. Zegnaj najdroższa mateczko w tej leśnej gęstwinie.

O ziemio bolszewicka przesiąknięta krwią naszych rodaków. Jak? Jak wytrzymasz ten płacz i ból uciemżonych ludzi i niewinnych dzieci, skazanych na katorgę i głód. O Chryste Panie, czy słyszysz ten płacz sierot, które ochrypłym głosem wołają: "Boże, Boże daruj temu ludowi, bo oni przesiąknięci duchem stalinizmu, nie wiedzą co czynią.

Szumia jodły na tym uralskim szlaku, mróz i śnieg skuł ziemię. Więc czekaj, czekaj wiosny Sybiraku, byś mógł znów zobaczyć stepu ślad. O Sybiraku ! Co ty powiesz dziś? Ile tam mogił? Ile tam łez zostało wylanych na ziemi tej. Ta ziemia przesiąknięta krwią naszych rodaków

- To Polak na ciężką pracę szedł. O głodzie i chłodzie witał go step. O ziemio obca usiana grobami. O ziemio pustynna zlane łzami. O ziemio uralaska, bolszewicka, niewinna. Brak mi jest słów. Trzeba to przeżyć, aby móc zrozumieć. Tak, to my, Sybiracy. I nasz powrót do Polski. Nie było transparentów gdyśmy wracali. Nie witał nas nikt kwiatami. "Niech nam żyją" - też nie śpiewali. Ale myśmy stali na swojej ziemi ojczystej, rozglądając się dookoła - tak to tutaj - to Polska ukochana. Ale nikt nas nie woła.

Lata płyną i płyną. Ran już nie ma. Są tylko blizny. I wreszcie przypomniał sobie o nas rodacy. Miło nam. Bardzo miło! My z tej samej ojczyzny, Polski ukochanej. Tak, to my, Sybiracy.

Józefa Kołodziej